



TORRES

CZ. 1

WOJCIECH BARAN

*We śnie o istnieniu na straży tysięcy opinii
Tkwiłiśmy w swoich iluzjach*

*Gdyśmy się budzili z naszych żyć
Ze zdumienia przecieraliśmy oczy
I umieraliśmy wtedy prawdziwie
Nie oglądając się za siebie
By nie widzieć co żeśmy zrobili...*

Dolina Solinki – marzec 1922 r.

Podleszczyny – wieś położona w malowniczej dolinie rzeki Solinka. Jej senny, pastelowy krajobraz często skrywała lekka mgła, która schodziła nad drewniane domostwa z bujnie porastających zbocza gór lasów.

Ludzie zamieszkujący te tereny w 1922 roku byli w większości ubodzy. Mało kto słyszał tutaj o wielkim świecie i jego nieustających problemach. Niedawno zakończyła się pierwsza wojna światowa, a zaraz po niej na młodziutkiej ziemi Drugiej Rzeczypospolitej pojawiły się buty marszowe czerwonoarmistów. Idea rewolucji proletariatu miała zostać wniesiona na bagnietach do zachodniej Europy i zatrzymać się nad Atlantykiem. Bolszewicy nigdy jednak nie ujrzeli brzegu Atlantyku, ponieważ zostali zatrzymani nad brzegiem Wisły.

Wielkie szczęście narodu okupione zostało wielkim cierpieniem jednostek. W Podleszczynach mało było chat, na których wojna nie odcisnęła swego piętna. Choć zewnętrznie panował spokój, w duszach ludzi zagnieździł się olbrzymi ból. Ktoś stracił syna, ktoś męża, ktoś inny „zwyczajną” miłość. Pobożni ludzie tych rejonów jak nigdy dotąd potrzebowali Boga. Przyświecała temu idea: „Rozstajemy się po to, aby

znów się połączyć”. Ta prosta, dziecięca wręcz wiara rozświetlała nieprzeniknione mroki ludzkiego ducha, była latarnią i schronieniem wszystkich tych, którzy pierwszy raz ujrzeli, jak głęboka potrafi być otchłań rozpacz po stracie najbliższych.

Niektóre zdarzenia przynoszą nieodgadnione rezultaty. Wielka miłość do Boga wyniosła niemal pod niebiosa niedoskonałego człowieka, często omylnego w swych osądach. Człowieka, który z taką łatwością zachłysnął się władzą, która nań spadła po 1920 roku. Człowiekiem tym był ksiądz Jerzy – proboszcz teleśnickiego kościoła. Ludzie traktowali go jak wyrocznię. Niebawem ksiądz zaczął zajmować się nie tylko sakramentami i nabożeństwami, lecz również sądzeniem ludzi i wydawaniem wyroków. Tak oto prawo ustanowione przez duchownego stopniowo stawało się jedynym obowiązującym prawem w dolinach rzek Solinki i Sanu. Jerzemu niemalże nikt się nie sprzeciwiał... Niemalże.

W Podleszczynach żyła wraz ze swoją rodziną osoba, którą wszelkie nieszczęścia zdawały się omijać wielkim łukiem. Działo się tak za sprawą jej egoizmu oraz zdolności adaptacyjnych. Człowiekiem tym był Zenon – głowa jednej z dwóch tutejszych szajek zajmujących się nielegalną produkcją i przemytem bimbru. Przed wojnami i po wojnach posiadał on duży majątek; nie rzucał się jednak przy tym nikomu w oczy. Ksiądz Jerzy szczerze nie lubił Zenona ze względu na to, że tamten gardził nim, a co więcej, nie pojawiał się na mszach i pomimo okazałego majątku nie płacił ofiar.

Przeciwieństwem Zenona była głowa drugiej szajki bimbrowniczej – Władek, który mieszkał w znajdującej się w dolinie Sanu wsi Polana, na północny zachód od Podleszczyn. Była to najzamożniejsza postać w tej okolicy. Różniącą go od Zenona cechą było obnoszenie się ze swym bogactwem oraz przesadna, udawana pobożność.

W nielegalnych interesach, tych dwóch łączył kruchy rozejm. Władek okazywał wielką uprzejmość w kontaktach z Zenonem, Zenon jednak nie był głupcem. Znał on Władka od dzieciństwa i wiedział, że jego uprzejmość jest tyle samo warta co jego pobożność.

Do wymienionych wyżej barwnych postaci z całą pewnością należałoby jeszcze dodać rodzinę Kalistów, która mieszkała w okazałym kamienno-drewnianym domu w lesie, na zachód od Podleszczyn. Ich przybycie w te okolice było owiane tajemnicą. Nikt dokładnie nie pamiętał, kiedy ci ludzie osiedlili się na tych terenach. Krążyły słuchy, że przybyli oni z odległych ziem znajdujących się na południu.

Dom zamieszkiwała Alma Kalista wraz ze swoimi rodzicami Darvasem i Mandolą oraz jedynym dzieckiem Gabrielem. Nieślubny syn był obiektem żywego zainteresowania pobożnych i poukładanych ludzi z Podleszczyn. Jego matka dołała jeszcze oliwy do ognia, gdy dwa lata wcześniej nie przyjęła księdza Jerzego, który chciał poświęcić dom. To właśnie od tego momentu ksiądz regularnie na każdej mszy szkalował rodzinę Kalistów, podsycając wciąż niegasnące spekulacje, że ludzie ci parają się okultyzmem i jedynym powodem, dla którego nie chcieli przyjąć księdza do siebie, była obecność w ich domu samego diabła.

Opowieści o magicznych umiejętnościach Kalistów zdawały się nie być do końca bajką. W rzeczy samej wielu wierzyło, że Alma posiada zdolności parapsychiczne. Miała wokół siebie garstkę osób, które przychodziły do niej po wróżby, na seanse spirytystyczne czy też w poszukiwaniu otuchy.

Wszystko zaczęło się początkiem marca 1922 roku, choć korzenie tej historii sięgają bardzo odległej przeszłości.

*

Był mroźny, szary poranek, gdy stary pan Darvas wybrał się do lasu, aby narąbać drewna na opał. Wszędzie dookoła panowała głucha cisza. Zdawało się, że wszelakie dźwięki pochłaniał śnieżny puch, który zalegał grubą warstwą na ziemi oraz na uginających się pod jego ciężarem gałęziach drzew.

Nogi starca grzęzły głęboko w wysuszonym przez mróz śniegu. Każdemu krokowi towarzyszyło skrzypiące chrupnięcie, które świadczyło o tym, jak niebywale niska temperatura panowała. Ciężkie od ołowianych chmur niebo zastygło w bezruchu, podobnie jak czająca się pomiędzy drzewami mgła. Ścięta chłodem dziewicza przyroda przypominała namalowany gdzieniegdzie szklistymi, a gdzieniegdzie matowymi farbami obraz.

Mężczyzna ciągnął za sobą masywne sanie na drewno. Powietrze zdawało się osiadać coraz bliżej ziemi, okalając las niewidzialnym, lecz możliwym do wyczucia puchem.

Darvas nie mógł się już doczekać powrotu do domu. Paręset metrów od posiadłości przystanął i zaczął się żywo rozglądać po otaczającej go głuszy. Jego uwagę przykuła średniej wielkości sosna, pod którą spoczywał, jak mu się wydawało, nienaturalnej wielkości głaz.

Mężczyzna zdjął topór z sań i podszedł do owego drzewa. Zaciekawiony, zgarnął nogą śnieg z owalnej skały. Z wrażenia wypuścił z ręki toporek. Skała okazała się miękka.

Pan Darvas klęknął i zaczął rozgarniać zalegającą pod drzewem zaspę. Pod jej powierzchnią leżała zawinięta w gruby futrzany płaszcz dziewczyna. Jej twarz była sinobiała. Gdy mężczyzna ujrzał jej spokojne, młodziutkie oblicze, odruchowo zasłonił ręką usta i przymknął zachodzące

łzami oczy. Klęczał tak chwilę w śniegu. Nie mógł się pogodzić z tym, że tak młodą osobę spotkał tak okrutny los.

Po chwili wstał i z opuszczoną głową podprowadził sanie pod drzewo. Jego pierwszą myślą było zabranie dziewczyny do Podleszczyn. Był więcej niż pewny, że właśnie stamtąd pochodziła.

Gdy Darvas przykucnął, aby ją podnieść, zauważył, że z ust jej wydobywają się maleńkie obłoczki pary.

– Panienska żyje! – wyrwało się mimowolnie z jego piersi.

Mężczyzna objął ją mocno i zarzucił na nią swój płaszcz.

– Zabiorę panienkę do domu! Wszystko będzie dobrze! – Uniósł ją w powietrze, aby ułożyć na saniach.

Dziewczyna powoli otworzyła nieobecne już od zimna oczy i delikatnie odpychając się go rękami, szepnęła:

– Zostaw mnie...

Darvas zdawał się nie reagować na jej zachowanie. Pewnym ruchem położył ją na saniach i najszybciej, jak tylko mógł, ruszył w stronę domu.

Dopiero wtedy ciężkie szare chmury poruszyły się na niebie, roztrzepując nad niemą okolicą biały puch. Wydawało się, że stagnacja i napięcie opuściły ten skuty lodem, mroźny las. Nie tylko Kalista, lecz także i cała przyroda zdawały się odetchnąć z ulgą. Mężczyzna dopiero w tym momencie zaczął zadawać sobie to jedno oczywiste pytanie: kim była dziewczyna, która omal nie skołała w tej lodowej głuszy?

*

Darvas wparował do domu jak burza. Na rękach trzymał zawiniętą w futra dziewczynę. Nie zzuwając obuwia, wszedł do kuchni, gdzie przy ciepłym kaflowym piecu siedziały Alma i Mandola. Mały Gabriel bawił się zabawkami na drewnianej podłodze.

– Zagotujcie wodę! – krzyknął do oniemiałych kobiet.

– Chryste, tato, kto to jest?! – rzuciła Alma, podbiegając do ojca.

– Nie wiem – odparł Kalista – Znalazłem ją na wpół zamarznąłą w lesie.

Mandola postawiła duży garczek z wodą na rozgrzanej blasze. Alma w tym czasie zaścieliła łóżko stojące koło okna w kuchni.

– Gabrielku, nie kręć się teraz tutaj – powiedziała w pośpiechu do synka. – Stań koło stołu. – Spojrzała na ojca. – Tato, połóż ją tu.

Mężczyzna ułożył dziewczynę na łóżku. Alma bardzo szybko zdjęła z niej wilgotny płaszcz i okrywając ją kołdrą, zaczęła energicznie trzeć jej dłonie.

– Co z tą wodą, mamó?

– Ledwie, ledwie letnia... – odparła pani Kalista, patrząc w stronę nieprzytomnej dziewczyny.

– Nie musi być gorąca – powiedziała Alma.

Chłopczyk stał przy stole, trzymając się kurczowo jednej z nóg. Nerwowa atmosfera panująca w kuchni wyraźnie mu się udzieliła. Zerkał dużymi oczami to na mamę, to na młodą kobietę.

Alma spojrzała na syna i pogłaskała go wolną ręką po głowie.

– Nie bój się, szkrabie... – Uśmiechnęła się, a następnie zwróciła się do swojego ojca: – Tato, zabrałbyś go do drugiego pokoju?

– Chodź, maluchu. – Darvas wziął go na ręce i zabrał z kuchni.

– Dziadziu, co się stało pani? – Kobiety usłyszały z przedpokoju pełne troski pytanie chłopczyka.

– Pani troszkę zmarzła... – Głos oddalającego się mężczyzny rozmył się za zamkniętymi drzwiami.

– Myślisz, że będzie żyła? – spytała Mandola, podstawiając garczek z ciepłą wodą pod łóżko.

– Nie wiem, mamó. – Alma odkryła nogi dziewczyny i ułożyła ją w poprzek łóżka tak, aby wstawić je do wody. – Nie wyczuwam w niej woli życia. Umysł się poddał, zobaczymy, co zrobi ciało. Myślę, że wszystko rozstrzygnie się w ciągu najbliższych godzin.

– Jesteś pewna, że wiesz, co robisz? – Mandola spojrzała na zanurzone w garnku z ciepłą wodą nogi.

– Nie mam pojęcia... – szepnęła Alma. – Chcę ją tylko zagrzać.

Następne godziny ciągnęły się w nieskończoność. Obie kobiety ani na chwilę nie spuszczały z oczu dziewczyny, która zdawała się coraz to bardziej uciekać ze świata żywych.

Nikt nie zauważył, że pogoda się pogorszyła. Płatki śniegu, które jeszcze rano z niepowtarzalną finezją opadały na ziemię, były teraz chaotycznie rzucane o dom Kalistów. Wszędobyłski wiatr, gwiżdżąc w szczelinach i tłukąc się całą swą mocą o okna, próbował się wedrzeć do środka niczym nieproszony gość. Droga do Podleszczyn, którą Darvas miał wyruszyć, aby zawiadomić ludzi o swoim znalezisku, została odcięta.

Mrok nadchodzącego wieczoru wniknął pomiędzy targane zamiecią drzewa. W kuchennym oknie pojawiło się ciepłe migoczące światło dwóch lamp naftowych, które zapaliła Mandola.

– Czuję śmierć kręcącą się wokół domu... – powiedziała do mamy Alma, patrząc przez okno na ciemny las.

– Zatem to już tylko kwestia czasu – odparła staruszka i złapała chłodną rękę umierającej dziewczyny.

W tym samym momencie gwiżdżący coraz mocniej wiatr wyłamał jedno z okien na górze. Kobiety usłyszały głośny trzask drewnianych framug dochodzący z któregoś z pokoi na pierwszym piętrze. Chwilę później do kuchni wdarł się nieprzyjemny chłód.

– Pójdę zamknąć – powiedziała Alma, chwytając jedną z lamp naftowych stojących na stole.

Kobieta wyszła na przedpokój i udała się na schody. Mrok odpędzało rdzawe światło chybotającego na wszystkie strony płomienia lampy. Bariereki przy stopniach rzucały na klatkę schodową rozgałęzione niczym pajęcza sieć cienie. Przesuwając się w przeciwną do Almy stronę, próbowały uciec w swój ukochany mrok, jak najdalej od światła. Przez cały dom mknął lodowaty, zwiastujący nieszczęście wiatr. Miarowe skrzypienie drewnianej podłogi przenikało puste pomieszczenia.

Alma stanęła przed zamkniętymi drzwiami, spod których wydostawało się z zawodzącym jękiem lodowate powietrze. Gdy nacisnęła klamkę, silny podmuch zgasił jej lampę naftową. W niemalże kompletnych ciemnościach ujrzała tańczące kontury zasłon oraz trzaskające o ramę okno. Kiedy podbiegała, aby je zamknąć, oprócz płatków śniegu ocierających się o jej rękę poczuła coś jeszcze. Kobieta zatrzymała się i odwróciła, jednak nie zobaczyła nikogo.

– To nie był wiatr... – szepnęła do siebie, znalazłszy lukę w przyspieszonym oddechu.

Dziwne szturchnięcie wydawało się zbyt mocne.

– Alma! – usłyszała krzyk matki z dołu.

– Już biegnę! – odkrzyknęła, zamykając okno.

Gdy zeszła z powrotem do kuchni, ujrzała uśmiechniętą Mandolę.

– Ocknęła się! – powiadomiła ją mama. – Na chwilę, ale się ocknęła.

– Ona tu była... na górze... Sama śmierć weszła do naszego domu...
czułam ją.

– Ale to nie mogła być ona. – Mandola pokręciła głową. – Przecież dziewczyna żyje. Nie zabrała jej.

Alma, nic nie odpowiadając, ruszyła stanowczym krokiem do pokoju obok, do którego rano udali się Darvas z Gabrielkiem. Obaj leżeli w ciemnościach na łóżku. Gdy podeszła bliżej, uspokoiła się. Ojciec z jej synem spali. Wróciła do kuchni.

– Czego tutaj szukała? – spytała Alma, zamykając drzwi pomieszczenia.

– Jesteś pewna, że to była ona? Praktycznie nikt z żyjących nie jest w stanie jej dostrzec.

– Już raz ją widziałam. – Kobieta się zamyśliła. – Ona nigdy nie zwiastuje dobrych rzeczy.

– Nie widziałas jej... – zripostowała matka – Tylko ją czułaś. Pamiętaj, że nasze odczucia potrafią nam płatać figle. Ty najlepiej powinnaś wiedzieć, że nie zawsze można im zaufać.

– Mamo, ty nie rozumiesz! – Alma podniosła głos. – Choćby nie wiem jak nedorzecznie to brzmiało, śmierć przeszła przez nasz dom. – Spojrzała na tajemniczą dziewczynę i dodała szeptem: – I nikogo nie zabrała. Ona nie odwiedza żywych bez powodu. – Usiadła bezsilnie na krześle. Po chwili uniosła głowę do góry i wyraźnie ożywionym głosem spytała: – Słyszysz?!

Mandola rozejrzała się po kuchni, po czym odparła:

– Nie.

– No właśnie. Śnieżyca ustała...